

Smoleńska. M. Konopnickiej
hotel.



MARYI 
KONOPNICKIEJ
 HOŁD
Z WIELKOPOLSKIEJ ZIEMI!

NAPISAŁA

JANINA OMAŃKOWSKA.



Poznań.
NAKŁAD I WŁASNOŚĆ
KSIĘGARNI CHRZANOWSKIEGO I KUCNERA

Czcionkami Drukarni „Pracy” (M. Biedermann) w Poznaniu

<http://rcin.org.pl>



Klary Koroniewicz

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
<http://mib.org.pl>
00-834 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63



F. 7583

Naród, któryby nie czcil swych poetów
nie jest ich godzien.

Jakże ciężką byłaby dla wędrowca droga
wśród nocy, gdyby na firmamencie nie
było wcale gwiazd.

One rozweselają go w samotności, one
go krzepią nadzieją, one nawet drogę mu
wskazują, aby nie zbłądził wśród ciemności.

Czem gwiazdy są dla wędrowca, tem dla
narodu są jego poeci!

Jakże ciężką byłaby nasza droga, którą
nam Opatrzność kroczyć każe wśród ucisku
i bólu, gdybyśmy nie mieli wielkich naszych
poetów. Ich to natchnione słowa pocieszają
nas, krzepią nadzieję, dźwigają w upadku,
i wskazują kędy iść, aby nie zbłądzić wśród
pomroki.

Jedną z takich gwiazd na niebie naszym
jest poetka

Marya Konopnicka.

Świeci ona nam już lat 25. W roku bieżącym ob-

chodzimy 25 letnią rocznicę, jak Marya Konopnicka ogłosiła drukiem pierwsze swe poezye. Od tego czasu coraz to nowe wydobywała iskry swego talentu i swego ducha, a zawsze tylko na to, aby nas cieszyć, krzepić i dźwigać.

Imię Maryi Konopnickiej, niestety zbyt mało jest znane wśród ogółu społeczeństwa naszego; mianowicie zbyt mało znają ją ci, których ona najgoręcej ukochała, i dla których całkowicie talent swój poświęciła — zbyt mało zna ją lud polski.

Dlatego jest zadaniem niniejszej książeczki, choć w drobnej części przyczynić się do rozpowszechnienia czci i miłości dla tej naszej wieszczki narodowej, albowiem naród, któryby nie czcił swych poetów, nie jest ich godzien!...

Ktokolwiek wspomni o polskiej poezyi, temu mimowolnie staje przed oczyma postać i imię Adama Mickiewicza. Twierdzić można napewno, że niema w Polsce człowieka, niema nawet dziecka, któreby nie wiedziało, że Adam Mickiewicz był poetą i to największym poetą polskim. Imię jego wszyscy zachowujemy w pamięci, czcimy je i dumni z niego jesteśmy, a tak je wyróżniliśmy i wysunęliśmy z pośród szeregu wielkich naszych mężów, że może nawet dużo jest wśród nas

takich, którzy mniemają, że na Mickiewiczu zaczyna się i kończy nasza poezya.

A przecież tak nie jest. Już w XVI-tym wieku miała Polska sławnych poetów, jak np. Jan Kochanowski, co nam dał pieśń, która przetrwa, dopóki choć jeden Polak żyć będzie na świecie tj. „Kto się w opiekę poda Panu swemu“.

Wszak wiek XVIII dał nam Krasickiego, Karpińskiego, Woronicza, Felińskiego i tylu innych.

Dlaczegoż to sława Mickiewicza zaćmiła wszystkich?

Dlaczegoż to każdy Polak, choć czci dawnych poetów, Mickiewicza nietylko czci, ale i kocha?

Odpowiedź na to pytanie znajdziemy w owych wzniosłych słowach samego Mickiewicza:

Ja kocham cały naród! Objąłem w ramiona
Wszystkie przeszłe i przyszłe jego pokolenia
Przycisnąłem tu do łona,
Jak przyjaciel, kochanek, małżonek, jak ojciec!
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić!
„Ja kocham cały naród!“

Czyż ci, którzy byli przed Mickiewiczem nie kochali całego narodu?

Kochali oni przedewszystkiem piękno i byli przekonani, że jest zadaniem i celem

poezyi piękno czcić i przedstawiać. Więc jedni śladem poetów Wschodu przedstawiali nam piękno w Bogu; inni śladem starożytnych Greków czcili piękność ciała; znów inni śladem francuskich trubadurów opiewali piękno w miłości. Więc choć nie można odmówić im poczucia obywatelskiego, choć gdzie indziej przebija się współczucie dla uciskanego ludu, jednakże kult piękna, tak był wszechwładny, że nawet nie pomyśleli o tem, aby w poezyi można przedstawiać ludzi, okrytych brudem, zlanych potem, wycieńczonych głodem, zgiętych od pracy, smutnych, ponurych, „często grzesznych“, bo nieszczęśliwych. Czytającym dziś ich dzieła zdawać się może, że na świecie były wówczas same pałace i kościoły, sami świetni rycerze i piękne dziewice, same kwiaty, słońce, śpiew ptasząt, tęcze, radość, miłość i uśmiechy.

To też, choć z przyjemnością czytamy dzieła poetyczne epoki przedmickiewiczowskiej, choć szcycimy się ludźmi, którzy takie piękne rzeczy pisali, czujemy jednak, że w tych dziełach niema duszy całego naszego narodu.

Dopiero Mickiewicz i ci, co po nim przyszli uznali, że poezya winna być duszą narodu, że więc musi odzwierciedlać w sobie wszystkie cnoty, wady i uczucia jego, i że nie może ominąć tak licznego odłamu narodu,

jakim jest ubogi lud wiejski, szary tłum robotczy.

Pierwszy Brodziński w poemacie. „Wiesław“ przedstawiał lud wiejski w ważnej chwili życia tj. przy zaślubinach. Następnie Mickiewicz sięgnął już do wierzeń, zabobonów i zwyczajów ludowych, a wydobył stamtąd takie skarby poezyi, że następcy jego: Wincenty Pol, Teofil Lenartowicz, Syrokomla, Zaleski, już nie wahali się poświęcić całkowicie talent swój na odtwarzanie ludu i jego życia.

I zachwycaliśmy się wszyscy owemi wiochnami, dziadami, krakowianami, pastuszkami, lirnikami; owemi chatami lichemi, zgrzebnemi sukmanami, fujarkami, gędźbami i cieszyliśmy się wielce, że oto w ludzie naszym jest tyle piękna i tyle poezyi.

Była to epoka romantyzmu, sielskości, uniesień, marzeń i zachwyków.

Aż potem przyszli ci, którzy powiadali, że zadaniem poezyi jest głosić, czcić i przedstawiać przedewszystkiem prawdę. Byli to tak zwani realiści, czyli pozytywiści. I ci chętnie zaglądali do chat wieśniaczych, do fabryk, warsztatów, kopalni, ale inaczej pisali.

Dostrzegli oni, że szary ten tłum robotczy nie zawsze jest tak naiwny, jak w baladach Mickiewicza, nie zawsze tak syty i pię-

knie odziany, jak w sielankach Lenartowicza, nie zawsze tak poetyczny, jak w dumkach Zaleskiego.

Ale spostrzeżenie to nie osłabiło w nich miłości i współczucia. Opisywali oni ten naj-
nędzniejszy odłam społeczeństwa z wszyst-
tkimi jego wadami i grzechami, ale zawsze
tylko w tym celu, aby go dźwignąć i uszczę-
śliwić.

W tej to epoce pojawiła się na hory-
zoncie poezji naszej kobieta, poetka, która
może najwyżej ze wszystkich podniosła sztandar z dewizą: „Miej serce i patrzaj w serce!“

Tą kobietą jest

Marya Konopnicka.

Wielkiem swem kochającym sercem, od-
gadła ona, że poloty ducha przytłumia ciężka,
znojna praca, a przyczyną grzechu i zbrodni
jest najczęściej nędza lub ciemnota. Więc
tem goręcej ukochała ona tych właśnie nę-
dźnych, grzesznych i nieszczęśliwych, szukała
w nich duszy, oczyszczała ją i ukazywała
światu.

Dwadzieścia pięć lat mija, jak Marya Ko-
nopnicka ogłosiła pierwsze swe poezye, a kie-
dy dziś przeglądamy plon tej 25-cio letniej
pracy, to widzimy, że przez cały ten czas
chodziła ona za tymi, którzy pot leją w cięż-
kiej pracy; za tymi, którzy smutni są i nie-

szczęśliwi, którzy są głodni i nędzni. Chodziła ona za nimi, i zbierała wszystkie ich łzy, skargi, westchnienia i bóle.

Oto jak sama mówi o sobie:

„Nie wam słowiki wtórzyć przychodzę
Nie z tobą rózo kwitnąć przy drodze,
Którą przemija smutnych tysiące,
Niesionych burzą od wieku ..
Nie z tobą w blaskach budzić się słońce.
Co świecisz równie, cicho i jasno,
Czy duchy płoną, czy w walce gasną,
Lecz z tobą płakać człowieku!“

A w jakim celu? Czy tylko dla przyjemności i rozkoszy tych, którzy zawsze gotowi są zachwycać się kryształową czystością łzy, nie pomnąc na to, że ona zrodzoną została z bólu?

Nie bynajmniej! Maryi Konopnickiej nie może nikt zarzucić, że tworzy dla efektu. Litość i ukochanie wypływają jej z duszy i są potrzebą jej serca.

„W miesięczne noce za mgłami srebrnymi
Posłyszę skargi i rany obaczę
I pytać będę uśpionej tej ziemi
Ach kto tam płacze?“

A ponieważ najwięcej skarg, ran i płaczu jest tam, gdzie głód i nędza panuje, gdzie ciemnota do nieszczęścia prowadzi, gdzie ciężka praca plecy ugina, przeto idzie poetka pomiędzy tych biednych i maluczkich, pod-

patruje ich w różnych chwilach życia, a tam, gdzie obojętni widzą tylko dzikość obyczajów, zatwardziałość i złość, tam ona umie dopatrzeć się serca i duszy.

Umie ona odczuć gorąco, czy to tęsknotę i żal małego chłopięcia wiejskiego, które „Na gody“ idzie między obcych ludzi, aby wysłużyć sobie buty i kozuch, a odchodząc coraz to ogląda się na zagrodę, gdzie

„Stara wierzba, jakby żywa
Gałęziami za nim kiwa
Czegoś skrzypi, czegoś biada
Dziw do niego nie zagada“.

czy to boleść ojca, który oto posiał w czarną ziemię dwie główiny swych chłopiąt

„Co daremnie poglądały oczyma
Czy w komorze kęsa chleba gdzie niema?

czy rozpacz matki, które żegnając syna, idącego do wojska martwa pada, bo „mówiono, że jej pękło chłopskie serce“,

czy ból wygnańców, odstawianych na mocy dekretu „do granicy“,

słowem, każde drgnienie zbolełego serca, znajduje oddźwięk w sercu Maryi Konopnickiej.

Głód i nędzę odczuwa poetka tak głęboko, że choć zwykle wstrzemięźliwa, nie może już powstrzymać się, aby nie wołać wielkim głosem żałości i bólu.

Kiedy widzi, że dziecię miejskie leży chore w mieszkaniu sklepowem, ciemnem i wilgotnem, woła już głośno:

„Któż dziecku temu da trochę słońca
Pokaże lasy, pola?“

a gdy dziecię kona, unosząc z sobą tęsknotę za wsią, polami i słońkiem, poetka wybucha okrzykiem żalu:

„O bracia, czyż w nas wcale niema winy
Że słonka Jaś nie doczekał?“

Litość serdeczna dla nędznych i opuszczonych unosi poetkę tak daleko, że w słowach jej odzywa się niekiedy zgrzyt buntu przeciwko Bogu. Nie może poetka pogodzić się z myślą, że na świecie jest tyle łez, których Bóg nie otrze, tyle nędzy, której nie wesprze, tyle nieszczęścia, którego nie pocieszy.

„Choć tyle smutku i łez na tej ziemi,
Tyle niedoli, ach i tyle winy
Choć ponad ludów tłumami blademi
Biją okropne godziny.
Ja się nie skarzę! — Cóż świata pomoże
Choćbym go skarg mych wstrzęsła huraganem?
Smutno mi tylko, żeś Ty wielki Boże
Całej tej nędzy jest — panem!“

Zaiste jeżeli bunt taki grzechem jest przeciwko Bogu, to nie nam potępiać poetkę za niego! Uświęcony on został przez wznio-

słą cnotę miłości bliźniego i chyba do nikogo bardziej, jak do Maryi Konopnickiej nie możnaby zastósować słów Chrystusa: „Przebaczonem jej będzie wiele, albowiem wielce umiłowała!“

A teraz przyjrzymy się z innej strony wielkiemu sercu Maryi Konopnickiej — zejźmy wraz z nią w świat dziecięcy.

Śmiało twierdzić można, że dotąd nie miała Polska poety, ani pisarza, któryby tak znał dusze dziecięce, jak zna je Marya Konopnicka. Co więcej, czujemy czytając jej dzieła, że poetka chętnie przebywa wśród tych serc prostych i dusz niewinnych; że kocha ona dzieci, lecz nie jako bawidełka, albo lalki, ustawione ku przyjmowaniu morałów, udzielanych im przez mamy, ciocie i niańki, tylko jako zawiązek przyszłej ludzkości.

W całym szeregu dziecięcych postaci, które Konopnicka przed oczy nasze wyprowadza, uderzają przedewszystkiem dwie iskry, tlejące w sercach dziecięcych: honor i miłość! Z takich iskieł można zaiste wykrzesać płomień, zdolny ogarnąć świat i ludzkość.

Oto w nowelce „Ze szkoły“ poznajemy kilkanaście postaci chłopięcych, skreślonych przez jednego z kolegów. Wszystko to zuchy zahartowane, dla których hańbą najwyższą byłoby okazać miękkość i rzewność. Każdy zaś ich czyn mierzył się „honorem“, który sza-

nowali nad wszystko. Umiąły te zuchy płakać nad śmiercią kolegi kulasa, ale i ten ich żal najżywiej objawił się przez „honor“, jaki zmarłemu koledze kredą białą wypisali na trumnie: koło, w kole trójkąt, a w trójkącie krzyż.

Dziewczęta przedstawiają się gorzej: próżne, ciekawe, krzykliwe, „tyle ich było, a mało która lepsza, taki już widać gatunek paszkodny.“

Jedna tylko Bronka odróżniała się z pośród tego „szamrajstwa“ i ona jedna tylko łaskę znalazła w oczach kolegów. Ale też Bronka nie muskała się, nie mizdrzyła, boso chodziła porówny z kolegami i „chody“ różne z nimi odprawiała a honor znała taki, że „gdyby jej kto kłamstwo zarzucił, zaraz z pięścią między oczy.“ Ot, zuch, kolega! — Serce tylko miała dziewczęce, pełne miłości, bo oto nad zmarłym kolegą dwa dni siedziała, cicha, nie jedząc, ani śpiąc — do grobu go odprowadziła „honorowo“, nie psując zgoła parady — ale nad grobem „nie mogła dalej“ — padła z krzykiem i rękami objęła świeżą ziemię, z grobu wyrzuconą.

Z takich oto chłopców wyrastają pracownicy a z takich tylko dziewcząt obywatelki, nie cofające się przed żadnym obowiązkiem, ni przed żadną ofiarą.

W obrazku „Nasza szkapa“ mamy znów chłopców. Ot, powiedziałybyś: ostatnie łobuzy warszawskie! Ale i u nich „honor“ przedewszystkiem!

Honor nie pozwalał im przyznać się do głodu; honor nie pozwalał rozrzewniać się, kiedy z ubogiej izby żydzi wynosili jeden grat za drugim, tak, że izba została „na glanc“; honor nie pozwalał płakać ani za ukochaną szkapą, która poszła za gratami, ani nawet za matką, która pewnej nocy umarła cichutko „ani się ta duszyczka tyle nie załopotowała, co wróbel, kiedy odlata.“ Nawet w tak bolesnej chwili tylko tym chłopakom figle w głowie i pomstowanie. Obojętny spostrzegacz gotów przyznać rację sąsiadce, że to „istne małpy z meranzieryi“...

Ale poetka umiała podpatrzeć, że kiedy jeden z chłopaków wyciągnął się już tak, że wyglądał, jak ten śledź marynowany, to tylko dlatego, że śniadanie swoje codziennie w drodze do szkoły, oddawał młodszemu bratu, „ażeby był cicho.“ Umiała podpatrzeć, jak te małpy „z meranzieryi“ siadają nocą na swym sienniku, „rękami sterczące kolana obejmują, w pustą izbę patrzą — i płaczą! Płaczą wtenczas, kiedy nikt nie widzi.

A jeszcze inne postacie dziecięce:

Stoją one przed sądem, oskarżone o kradzież „z włamaniem.“

„Chłopcy drobni, przymizerowani, spaleni wiatrem i słońcem. Najstarszy mógł mieć lat ze czternaście może, najmłodszy z dziesięć, albo i mniej. Ot poganiacze wiejscy, od gęsi, od cieląt, od drobnego statku. Policzki mieli śniade, nieco zapadłe, miny nastraszone i ciekawe. Na jednych grzbietach wisiały świtki, na drugich kożuszki porwane, różną nicią szyte. Czapki trzymali w obu rękach, oczy mieli wytrzeszczone, otwarte usta, wyciągnięte, cienkie jak u wróbli szyje.“

Te miny nastraszone, oczy wytrzeszczone i otwarte usta świadczą, że w sercach tych dzieci niema już iskry honoru; już ona przytłumiona została ze szczętem — przez nędzę i głód!

Chłopcy nie czują już hańby i grozy swego położenia. Dziwują się tylko bogactwom sali sądowej: „Boga mi! Jaka jasność, jakie gromnice! Wielka bogatość, okropnie wielka bogatość!

Kiejby jeść dali, to tylko stać a patrzeć, a dziwować się światu!“

Przejmuje ich też coraz bardziej nieufność i trwoga. Patrzą z podełba, bo „koza jak koza, nie straszna, to tak jakby w chałupie, i brudno i głodno tak samo. Ale w takiej paradzie, w takim państwie, to tu inaczej pójdzie, oho!... Już ich tu panowie

nie poco wzięli, tylko aby w skórę wkrzyknąć!“.....

Stanowczo już tych chłopców nikt na ambicyę nie weźmie! Głód i strach mocniejsze są od honoru! Ale nie zrażajmy się do tych małych nędzarzy, bo oto w serduszkach ich tleje jeszcze potężna iskra miłości, wprawdzie już nie do ludzi, od których nie doznali nic dobrego, ale do — zwierząt.

Oto mały Klimek, gęsiarek, ma tylko jedno życzenie, aby te wspaniałości sądowej sali widziały jego gęsi!

„Kościół nie kościół, a jakby się śniło.. Gdzie! Na najcieplejszym zapiecku nie przyśnią się takie rzeczy! Na pacierzu nie zmówić, na surmie nie wygrać! Kiejby to moje gęsi widziały!“

A mały Chwiedoś nie widzi już nic i nie słyszy, bo oto gdzieś za ścianą słyhać ciche skomlenie jego Kozyrka!

„Chciałby tam iść. Chciałby iść na ten wiatr wiejący, na ten deszcz siekący, ot tak, jak stoi — chciałby iść przytulić się do mokrej sierści, do kudłatego łba skomlącej psiny. Kozyrek heto, Kozyrek zawywaje!“ Nie zrażajmy się przeto! Jeszcze nie wydarto tym dzieciom ostatniej iskry miłości -- prędzej, czy później wybuchnie ona płomieniem i ogarnie światy!

Należy się jeszcze wspomnieć o najpiękniejszej postaci dziecięcej w dziełach Konopnickiej o Stachu Szafarczyku.

Piętnaście roków miał, ale mały był, chudy, ręce miał, jako dwa patyki. „Gałąź sucha, co z pnia wierzby sterczy, kość, którą pies ogryzie, nie inaczej wyglądaćby mogła.“

Fartucha matczynego się trzymał jeszcze, a kiedy na wiosnę dzieci krzyknęły: bociuś, bociuś, wybiegał na drogę, czapkę w górę podrzucił i krzykał radośnie.

Aż kiedy ojca nie stało w chałupie, odrazu poczuł się obywatelem. Tatuś ojcowiznę mu przekazał, więc poczuł Stach, że jest tej ziemi synem i panem zarazem — nie chciał, aby najemnik w niej pracował, aby jej się obce ręce dotknęły. Więc choć stary sąsiad przestrzegał go, że „ta święta ziemia nie da ze siebie kpić! Ta święta ziemia dużej pracy chce, dużego potu! To nie śmieszki, nie baraszki, to duże, duże rzeczy są“ — chłopak nie uląkł się. Kochał on tę ziemię potatutową, tę ojcowiznę swoją.

„Już on teraz wiosny nie używał, po drzewach się nie drapał, jaj czajnych nie zbierał, trzmielów po łąkach nie kopał, maików po strudze nie puszczał.“ Pracował zawzięcie, choć dreszcze po nim chodziły, choć kości bolały, choć pot zimny go oblewał. Wychudł, wyciągnął się, zcieńczał, jak ta trzcina jeziorna,

oczy my wpadły, plecy się pochyliły, ale —
zawział się — pracował — aż padł.

Na polu obok kosy znalazł go sąsiad stary.

„Pole podobne było do pobojuwiska.
Owa luza, która tu o świcie zachodziła flankiem,
rozpierzchła się po stronach, zostawiwszy
całe szeregi martwo leżących pokosów. Nad
zdobytym polem, jak sztandar zwycięzki,
w ognistej łunie zachodu sterczała Stachowa
kosa.

A mały żeniec leżał pod tym sztandarem
cichy, nieporuszony.....“

Cześć Ci poetko i dzięki!

Ten trup chłopięcy, rozciągnięty na ojcowiźnie
swojej pod sztandarem kosy to nasz
ideał narodowy!

Daj nam Boże wszystkim tak choćby paść
w miłości i pracy dla świętej ziemi ojczystej!

Ale wieszczka nasza nie zawsze tylko
płacze i buntuje się. Umie ona także
podnosić zwątpiałych i krzepić nadzieję,
bo sama wierzy w lepsze dni!

„Wierzę w ciszę i spokój po gromach i burzy
Wierzę w siłę, co walcząc ze złem się nie znuży;
Wierzę w siłę, co stapia czyny i ofiary
Na dni nowych słoneczne, królewskie sztandary.

A w czymże i gdzie widzi poetka tę siłę?

Oto posłuchajmy:

„Kiedy widzisz skrę, co tryska
Z nakowadła i ogniska,

Gdy dłoń widzisz z kielnią, młotem
Jak nad głową śmiga hardo,
Gdy na twarzy, złanej potem,
Odgadujesz dolę twardą, —
Uchyl czoła, synu miły,
Przed tym, co się krwawo znoi,
Lud i praca — to są siły
A świat cały niemi stoi!

Uchyl czoła synu miły!“ Czyż serca nasze nie uderzą wdzięcznością dla poetki za to, że taką czcią otacza pracę, że podnosi ją nieomal do kapłaństwa, a pracujących otacza aureolą i berło im daje do ręki! —

Marya Konopnicka wierzy także w siłę, która wyrówna ścieżki Pańskie, wypełni doliny i zniesie pagórki, która zwycięży otchłanie wytworzone przez różnice stanów. Siłą tą jest oświata!

„Czemu ta przepaść, która braci dzieli,
Na pokrzywdzonych i na krzywdzicieli,
Tak jest bezbrzeżna, jako oceany.
A taka straszna, jak otwarte rany?
O spiesz się słońce, co wschodzisz powoli
Nad przepaściami głębokich niedoli!
O spiesz się słońce! Niech dzień nowy wstanie!
Wszak *tylko światło* zwycięża otchłanie!“

A choćby też oświata nie zwyciężyła wszelkich otchłani smutku, grzechu i niedoli, to jednak zdolna ona jest dać choć promyczek szczęścia, przybliżyć choć trochę to Królestwo Boże, o które wszyscy codziennie się modlimy.

„Bo to chleb dobre posilenie jest, ale nauka jeszcze lepsze. Miałyby człowiek naukę dobrą, nie byłoby po świecie tych mórów, tych głodów, tych powodzi, tych smutków i ciężkości dusznych. Samoby się niebo bliżej ziemi nakłoniło i człowiek świętymby się ostał.“

Tak mówi poetka przez usta starej babki, która widziała takie głody, że „ludzie sieczkę drobno żli, mech suszyli i tłukli, ości z owsa przyczyniali, na wodzie warzyli i jedli — a od warzy takiej psi do trzeciego dnia wyli, a ludzie nic“; i mory takie widziała owa babka, że „drugi ledwo się w piersi uderzył i „Boże bądź miłościw“ nie przerzekł, już duch z siebie puścił — gdzie nie bądź to ułapiło,“ — ale mówi o tem ze spokojem, nie złorzeczy, Bogu dziękuje za życie i za to, że „umie na książce.“ Oj widziała ci ta babka pewnie i grzechy i zbrodnie popełniane z tego, że ludzie „nie umieli na książce!“

Oto i poetka widzi przed sądem małe dziecię, sierotę, a w duszy słyszy głos:

„Niechże was Chrystus — głos mówił — rozsądzi,
Kto więcej winien: czy ten nieświadomy,
Co drogi nie zna i w ciemności błądzi?
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy, a nie dbacie o to,
By *uczyć* dziecię, które jest sierotą...“

O gdyby słowa te do serca sobie wzięły
ludy i rządy! Gdyby jak najprędzej nastał

on czas, gdzie prawdziwa oświata zapanuje
wszędzie.

„Żeby w światło się podniosły powieki,
I przyszłości dzień już nastał na wieki!“

* * *

Nie jest i nie może być zadaniem niniejszej pracy dać ocenę wszystkich dzieł Maryi Konopnickiej. Pragnąłam tylko wykazać, że ma ona prawo porównano z Mickiewiczem powiedzieć o sobie:

Ja kocham cały naród!
Chcę go dźwignąć, uszczęśliwić,
Chcę nim cały świat zadziwić!

A jeżeli tak jest, toć godzi się, abyśmy i my Imię Jej stawiali obok Mickiewicza, abyśmy tę wieszczkę naszą czcili i kochali. Wszak serce, sercem się płaci! [Ukochała ona lud pracujący nad wszystko. Ukochała dziatwę polską — niechżeż więc i oni poniosą Jej w zamian „serc swoich bicie i uczuć swych kwiaty.“ Ukochała ona cały nasz naród. Wszystkie jego bolesne drogi, wszystkie zwątpienia, ułudy, męczeństwa, krzyże lochy i bóle pragnie odtworzyć i przekazać pamięci potomnych:

„Ktoby mi dał to, iżbym tę gromadę
Mógł wymalować ku ludzkiej pamięci!
Idą... Dech świszczy... Zczerniałe i blade
Twarze... Pod węzłkami idą zgięci,
Stopy ich broczą krwią... Tu więc ja kładę

Rękę na onych krwawników pieczęci,
Żeby nabrała koloru tej męki,
Choć wiem, że *nigdy już nie zmyję ręki.*“

Nie chce więc poetka zapomnieć naszych
mąk i bólów, a my mielibyśmy zapomnieć,
cośmy Jej winni?

O nie! Imię Maryi Konopnickiej nie-
tylko jaśnieć będzie na horyzoncie poezyi
naszej wśród najwspanialszych gwiazd — ono
wryte będzie także w sercach naszych!

W roku bieżącym, w stolicy dawnych
królów naszych w Krakowie, składać będzie
społeczeństwo nasze hołd widomy poetce za
jej 25-letnią zbożną pracę.

Niechajże w rzędzie hołdowników nie
zabraknie Wielkopolski, tej ziemi przesiąkłej
łzami i napełnionej krzykiem bólu, które
poetka tak gorąco zawsze odczuwała. Po-
nieśmy wieszczce naszej w darze, na co nas
stać, ale przedewszystkiem ponieśmy Jej przy-
rzeczenie, że postępować będziemy podług
Jej słów:

„O gdyby co rok, na jedną godzinę
Ludzie się w bratnią łączyli drużynę,
W wspólne ogniwa łańcucha:
I czuli razem swój ból choć na chwilę
Ileżby życiu przybyło na sile,
Na mocy ducha!“

O tak! Łączyć się będziemy — nie co
rok, nie na godzinę, ale zawsze: w myślach,

dążeniach i czynach, a tak silni duchem pójdziemy razem

„Na łąn, na łąn
Na ornej ziemi łąn
Tam ducha wiew, tam jutra siew
Tam tryumf nam jest dan “

Pójdziemy razem do pracy, do znoju, do czynu, do zmartwychpowstania!

A gdy siły nasze mdleć będą, zwątpienie ogarniać nas pocznie, złudne obrazy na manowce wodzić — Ty wieszczko nasza, krzep nas pieśniami swemi!

Choć wszyscy zwątpią, Ty się spodziewaj,
O mów! O śpiewaj!...“
„Bo jest pieśń Twoja jutrzeńką i zorzą,
Z której dzień buchnie nam za mocą Bożą!“



Różne wiersze Maryi Konopnickiej.

Nie sprzedam ci ziemi.

Przyszli cudzoziemcy, ludzie innej wiary;
„Sprzedaj chłopie ziemię, będziesz miał talary.
Zapłacimy chatę, zapłacimy pole,
Będziesz miał talarów na caluśkim stole.“
— „A, mój panie miły! Idźże, gdzie chcesz sobie,
A ja swojej roli za nic nie dam' tobie!
Schowaj swe dukaty i białe talary,
Kto sprzedaje ziemię, ten nie naszej wiary,
Chcesz kupić ode mnie i rolę i płoty?“

A kto mi zapłaci za ten miesiąc złoty?
A kto mi zapłaci za tę jasność Bożą,
Co w moje okienko idzie z każdą zorzą?
Za ten dach słomiany, co mi głowy strzeże?
Za ten dzwon, co dzwoni rankiem na pacierze?
A kto mi zapłaci za tę modrą wodę,
Za ciepło słoneczne, za cichą pogodę?
Za wiosenny klekot naszego bociana?
Za piosnkę pastuszków, „dana, oj ta dana“?
Za ten piasek biały, gdzie się bawią dzieci?
Za tego skrowronka, co nad głową leci?
A kto mi zapłaci za tę słodycz miodu,
Co ją pszczoły znoszą do ula z ogrodu?
Za palmę, co pęka w kwietniową niedzielę?
Za tę gruszę polną, co długi cień ściele?
A kto mi zapłaci za kościółek Boski,
W którym co niedzieli Bogu składam troski?
Za cmentarz przy farze, zielony jak sady,
Gdzie leżą w swych grobach ojcowie i dziady?
A toć to i mnie tam miejsca wnet potrzeba,
Gdy Pan Bóg zawoła: „Chodź człeku do nieba!“
A toćby mi dzieci po nocach tęskniły
Nic wiedząc, gdzie szukać ojcowej mogiły.
Nie sprzedam ci roli. Weź, kupczę, talary!
Kto ziemię sprzedaje, nie naszej jest wiary.“

Chrystus i dzieci.

Szedł w szczerem polu Chrystus Pan,
A przy nim orszak bosi:
Dziateczki, co na zżęty łan
Szły z miasta zbierać kłosa.

Cisną się usta do nóg Mu
Drobniuchnej tej czeladzi,

A Chrystus spuścił jasną dłoń,
I główki dziatwy gładzi.

Rośnijcie — rzecze — ojcom swym
I matkom na pociechę!
I jako słońce chaty swej
Wyzłóćcie niską strzechę.

Lecz wpośród dzieci była tam
Sierotka jedna mała,
I słysząc to, co Chrystus rzekł
W te słowa się ozwała:

— A ja nie będę Panie rość,
Bo na co to i komu?
Ojca i matki nie mam już
A także nie mam domu.

Lecz Chrystus rzekł: — Zaprawdę wam
Powiadam moje dziatki:
Nie jest sierotą żadne z was
Choć nie ma ojca, matki.

Bo ojcem mu jest niebios Pan
A matką ziemia miła,
Co go zbożami swoich pól.
Jak mlekiem wykarmiła.

A domem mu jest cały świat
Bez granic i bez końca,
Gdzie tylko sięgnie jego myśl,
Jak złota strzała słońca.



Zamiary Stasia.

Nieraz sobie myślę o tem,
Czem ja będę, gdy urosnę:
Czy kuć będę w kuźni młotem,
Czy obrabiać piłą sosnę?

Czy też może własną grzędę
Orać przyjdzie sochą krzywą?
Czy na tratwach flisem będę
Wisłą spławiał złote żniwo?

Czy zapadłszy w puszczy knieje
Dzielnym stanę się leśnikiem,
Co to nigdy nie blednieje
Choć się spotka z wilkiem, z dzikiem?

Albo może będę badał
Heł, na niebie księżyc złoty...
Ludziom dziwy opowiadał
I tłumaczył gwiazd obroty?

Może w księgach się zagrzebię
Aż po uszy, aż do brody,
I jak pszczoła zgubię siebie,
Słodkie braciom ciągnąc miody.

O to jedno proszę Boga,
Niech mnie darzy szczęściem takim:
Jak bądź pójdzie moja droga,
Żebym nie był złym próżniakiem.

Jaskółka.

Jaskółeczka do nas wraca
Z oddalonej drogi.
Śpiewem wita wioskę miłą,
Miłej chaty progi.

Przez trzy morza, przez trzy góry
Światem przeleciała,
Przecież drogie gniazdko swoje
Od razu poznała.

Jaskółeczka do nas leci
Z wesołą nowiną,
Już niedługo liczne kwiaty
Z pąków się rozwiną.

Już niedługo brzoza biała
Gałązki rozchwieje
A ten czarny, pusty ugór
Zbożem zarunieje.

Jaskółeczka w niebo leci
Wysoko, daleko,
Wie zawczasu, kiedy rzeki
Do morza pocieką.

Wie zawczasu, kiedy strumyk
Brzegi swe zakwieci,
Wypatruje złotą zorzę,
Czy w okienku świeci.

Jaskółeczko drogie ptaszę
Bądź nam powitana!
Budźże ze snu wioskę naszą
Piosenką od rana.

Na opiece wierzby.

Poszła matuś do roboty
Poszła na pole,
Zostawiła suchej wierzbie
Swoje pacholę.

A ty, stara, sucha wierzbo,
Pilnuj mi chłopca!
Tylko pójdę z sierpem w łąkę
Do tego kopca.

Pilnujże go, trzymajże go,
Niech mi nie padnie;
A ty chmielu, przyjacielu,
Baw mi go ładnie!

Strzeżcież mi go, bawcież mi go,
Kwiaty u płota,
Nie puszczajcie mi do niego
Burego kota!

Nie puszczajcie mi do niego
Złego sąsiada,
Tego Brysia, co za płotem
W budzie ujada.

A wy ptaszki, wróbelaszki,
Macie tu chleba! —
Śpiewajcież mu pioseneczki
Z samego nieba.

Ostańże mi, nie płaczże mi,
Dziecino złota!
Trzymajże się wierzby naszej,
Naszego płota!

Stary dziadek.

Stary dziadek siwy, ma lat ze sto może,
Tem się tylko żywi, czem go kto wspomóż.
Nie ma on zagrody, ani własnej chaty,
Wszystko stracił w ogniu przed niewielu laty.
Tylko ma sukmanę na grzbiecie łataną,
I ten kij sękaty, i torbę parcianą;
Na zmęczonych nogach ma trepki lipowe
I czapkę z barankiem na swą siwą głowę;
A w tej siwej głowie piosenek bez miary
Pójdźże nam zaśpiewaj, mój dziaduniu stary.

Wiosenka.

Oj wiosna, ta wiosenka,
Już puka do okienka,
Już puka w nasze wrota,
Już idzie wiosna złota!

A skądżeś to przybyła
Wiosenko nasza miła?

A gdzieżeś zimowała
A komuś kwiatki siała?

Za piecem gdzieś u Boga
Siedziała tam nieboga!
Jedwabie nawijała
Listeczki w krosnach tkąła!

Te jedne dla olszyny,
Te drugie dla wierzbiny,
W lot miga jej czołenko...
— Oj wiosno, ty wiosenko!

W wianeczku jeszcze włosy,
Na kwieciu perły rosy,
Szateczka jej powiewna...
Tak idzie ta królowna!

Jaskółka przed nią lotem,
Bryś grzeje się pod płotem;
A jaskier się nad rowem
Przyodział złotogłowem.

Od rzeki biją echa,
Wiosenka się uśmiecha,
I sypie iskry szczodre,
W te wody nasze modre!

Poczuli ją ptaszekowie,
Ozwały się w dąbrowie,
Gaj rozbrzmiał, jak lirenka,
— Oj wiosna, to wiosenka!

Do wierzby.

A kto ciebie, ty wierzbinie wychował?

A kto twoje fujareczki czarował?

— Wychowałci mnie mój rodzic — ciemny las,

Kędy stoję w chłodnej rosie aż po pas;

Wykarmiła mnie ta ziemia, ta matka;

Płakiwała ze mną brzoza — sąsiadka.

Czarna rola podawała chleb i sól...

Wykołysał wiatr szumiący z łąk i pól,

Latał ci on miesięcznymi nockami

Nad sennemi wioski naszej chatami;

Z starych mogił zbierał skargi i żale

I otrząsał po kalinach korale.

Za nim smutek, łzy sieroce leciały,

Jak po niebie chmur pierzastych smug biały.

Wiatr gałązki moje gibkie całował,

Na fujarki je nastroił, czarował!

Wieczorny pacierz.

Zaszło już słońce wśród złotych zórz,

Klęknij, dziecinko i rączki złoż.

I pod blaskami tych jasnych gwiazd,

Módl się o spokój dla naszych gniazd.

Módl się za kwiaty rodzinnych pól

Za tych, co płaczą, i cierpią ból....

Módl się, byś urósł i nabrał sił,

I braciom, ludziom byś miły był!

Módl się, by dom ten wziął Bóg pod straż

I za mateńkę mów „Ojczyzna!”

Marya Konopnicka urodziła się roku 1846-go w Suwałkach, mieście położonem w Królestwie Polskiem nad rzeką Hańczę, która wpada do Niemna.

Nauki pobierała w domu, pod kierunkiem ojca, obrońcy Józefa Wasiłowskiego; matka odumarła ją w dzieciństwie.

Ojciec zapoznawał Maryę z poetami starożytnymi, czytywał jej i objaśniał dzieła Kochanowskiego, Brodzińskiego, a przedewszystkiem, jak poetka sama opowiada, uczył ją kochać Chrystusa, jako przyjaciela Indzi smutnych i uciśnionych.

Po wyjściu za mąż mieszkała Marya Konopnicka na wsi w Bronowie i oddała się całkowicie obowiązkom żony, matki i gospodyni domu. Dopiero, kiedy już dzieci nie wymagały wyłącznej opieki matki, zaczęła tworzyć poezye, które ogłoszone w pismach, zwróciły powszechną uwagę na ich autorkę. Kraszewski i Sienkiewicz pierwsi poznali się na niezwykłym talencie młodej poetki — umieścili w pismach pochlebne o jej utworach recenzye, które poetka przeczytawszy, poszła, jak powiada, w najciemniejszy kąt ogrodu i rozplakała się ze szczęścia. Dziś, wszyscy uwielbiają wielki talent Maryi Konopnickiej, a co więcej, wszyscy uznają, że ona talentu tego od Boga jej danego nie używała nigdy na złe.

Oby żyła jeszcze długie lata i tworzyła piękne strofy ku naszej rozkoszy i pokrzepieniu serc!



F. 7583

Drukarnia „Pracy” (M. Biedermann) w Poznaniu.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
<http://rcin.org.pl>
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 12
Tel. 26-68-63

Chrzanowski & Kucner

w Poznaniu,

ulica Wilhelmowska Nr. 17, naprzeciw kościoła św. Marcina.

Księgarnia i skład materiałów piśmiennych.

Załatwiamy wszelkie zlecenia wchodzące w zakres księgarstwa.

Przyjmujemy prenumeratę na pisma i wydawnictwa poszytowe, w kraju i zagranicą wychodzące.

Wszystkie nowości otrzymujemy zaraz po ukazaniu się ich w handlach.

Dzieła nieznajdujące się na składzie sprowadzamy w jaknajkrótszym czasie po zwykłych cenach katalogowych.

Podejmujemy się oprawy książek od najskromniejszych do najozdobniejszych.

Przyjmujemy zlecenia na wszelkie druki, rejestra gospodarcze, tabele, oraz wykonujemy gustownie i tanio karty wizytowe.

Skład materiałów piśmiennych

Polecamy także nasz dobrze zaopatrzony skład papierów listowych i drukowych, przyborów do pisania jak trzonki, ołówki, piórka, kałamarze, linie, atrament, gumy, książki kontowe, zeszyty, notesy, najrozmaitsze koperty itd.

Wielki wybór książek do nabożeństwa!

Przyjmujemy do oprawy obrazy i posiadamy na składzie krzyże, medaliki, obrazki święte, także w ramkach i na porcelanie.

Zamówienia załatwiamy szybko i dokładnie.

F

7583